

Andreas Billert

Piotr Z. Baretkowski

zdjęcia: Karolina Sikorska  
i Anna Maszyńska  
makiaż: Luiza Wójcik

# WIELCY REWITALIZATORZY

Najłatwiej coś zaniechać, zepsuć. Trudniej stworzyć. Jeszcze trudniej stworzyć coś z niczego. Z nieporządku sens, z bezguścia modny trend, z ruiny ikonę. Przywrócić potrzebę istnienia materialnego i pozamaterialnego. Dać jeszcze jedną szansę życia. Przywrócić do miejskiego krwiobiegu. Zreanimować. Zre-witalizować. Tchnąć na nowo. →

Przemysław Borkowicz

Katarzyna Kujawska-Murphy

KANAPA METROPOLII



ŚWIATŁA SESJI

**GALERIA NOTI**  
WNETRZA W NAJLEPSZYM STYLU

**E** METROPOLIA

## Andreas Billert

Żywa reklama rewitalizacji, czyli tego, czym zajmuje się od ćwierćwiecza. Witalny tak, jak powinno być żywe, prawidłowo działające miasto. Mimo że nieco po sześćdziesiątce – dynamiczny optymista, otwarty na ludzi i nowe idee, uśmiechnięty, młody duchem, niebanalny.

W metryce wpisano mu: Andreas. Przyszedł na świat pod koniec wojny, w 1944 roku, w Toruniu. Wkrótce potem został Andrzejem. Teraz znów jest Andreasem, by odróżnić się od kuzyna – znanego w Poznaniu specjalisty od dróg rowerowych, który nosi jego imię i nazwisko. Korzenie ma polsko-niemieckie. W XVIII wieku rodzina Billertów ściągnęła na Pomorze Gdańskie z głębi Niemiec. Część rodziny spolonizowała się, część zachowała niemiecki charakter, a gałąź, w której na świat przyszedł Andreas tkwiła na pograniczu dwóch kultur. – Nie byliśmy przypisani ściśle do żadnej nacji. To zresztą typowe na Kujawach i Pomorzu. Opowiadała mi babka, jak lokalni Niemcy rzucali kamienie we wkraczających do Polski żołnierzy Wehrmachtu. Przynieśliście nam wojnę – krzyczeli. Te podziały na Niemców lokalnych i napływowych utrzymywały się zresztą często przez całą wojnę – mówi Billert.

Na swój sposób kontynuuje tradycję pogranicza. Dwadzieścia pięć lat temu przeniósł się do Niemiec i zajął rewitalizacją tamtejszych miast. Wcześniej specjalizował się w zabytkach i historii sztuki. Często powtarza, że jeśli przyszedł na świat – tak jak on – przy toruńskim rynku, pod zabytkowym sklepieniem, w cieniu gotyckiego ratusza, to nie było wyjścia. Trzeba było studiować albo historię sztuki albo cokolwiek innego, co ma związek z zabytkami. I tak też się stało. Najpierw była konserwacja zabytków w Toruniu. Później – historia sztuki, na którą przeniósł się do Poznania. Tu zrobił doktorat o twórczości znanego niemieckiego architekta z XIX w. Karla Friedericha Schinkla. – To było bardzo ciekawe opracowanie. Pamiętam Andrzeja Billerta z moich studenckich czasów. Działał w Instytucie Historii Sztuki UAM. Tam była wtedy bardzo dobra

# ANDREAS PIERWSZY ODNOWICIEL

■ Jakub Głaz





foto: Hubert Sobolek (3)

ekipa naukowa, panowała w niej swobodna, twórcza atmosfera. Razem z żoną prowadzili dom otwarty, ciągle się coś ciekawego w nim działo – wspomina dr Hanna Grzeszczuk-Brendel, historyk architektury z Wydziału Architektury na Politechnice Poznańskiej. – Billertowie mieszkali wtedy w domkach budniczych na Starym Rynku, tak więc bardzo łatwo zachodziło się do nich po pracy, by wyjść koło drugiej, trzeciej w nocy – wspomina Wojciech Makowiecki, dyrektor Galerii Miejskiej Arsenał, który studiował razem z Billertem. Wielu ludzi podkreśla: Billert to człowiek bardzo otwarty, o wszechstronnych zainteresowaniach. Ciekaw nowych ludzi i idei. Przez tę ciekawość zaczęła się przygoda z rewitalizacją.

– Zaczęły mnie w latach 70. interesować procesy odnowy starych miast w Europie Zachodniej. To była totalna nowość. Przystano wyburzać zabytkowe centra w imię „modernizacji” i przywracano im dawną świetność. Chciałem w tym uczestniczyć – mówi. Skorzystał z okazji. Gdy w 1980 r. pojechał do ówczesnego RFN wygłosić naukowy referat, udało mu się zatrudnić w urzędzie konserwatora zabytków w Wittenberdze. Uczestniczył w rewitalizacji Lubeki. Wspomina to z ledwie dostrzegalnym rozrzewnieniem. – Gdzie się nie stuknęło młotkiem, to ukazywała się jakaś sztukateria lub malowidło! Udało się nam chyba niezłe odnowić to miasto, skoro wpisano je potem na listę światowego dziedzictwa Unesco. A proszę wyobrazić sobie, że jeszcze w latach 70. chciano wszystko wybu-



rzyć! – mówi. Ostatnio powraca do Polski, wykłada w Poznaniu, Słubicach i Frankfurcie nad Odrą, często przebywa w Niemczech.

Co najbardziej pociąga go u zachodnich sąsiadów? – Porządek, ład i sensowna polityka państwa. Potrafi ono o dwa kroki wyprzedzić niekorzystne zdarzenia, zapobiec im, przewidzieć rozwój sytuacji – tłumaczy. A co jest największą siłą Polski? – Ludzie. Ich otwartość, spontaniczność. Niemcy też są sympatyczni. Inaczej

to się jednak u nich wyraża: bardziej poprzez ich liberalizm. Młodzi Polacy zaczynają się do nich upodabniać – twierdzi.

Od ponad roku jest konsultantem Miejskiego Programu Rewitalizacji w Poznaniu – Cenię sobie współpracę z Panem Andrzejem Billertem przy MPR. Jego podejście do problemów związanych z rewitalizacją jest interesujące, zarówno ze względu na jego niemieckie doświadczenia w tym zakresie, jak i przede wszystkim z uwagi na otwartość i sposób myślenia: procesami. Być może jest to m.in. wynik połączenia jego historycznego wykształcenia z praktyką rewitalizacyjną – mówi Lech Podbrez, kierownik Oddziału Rewitalizacji Wydziału Rozwoju Miasta poznańskiego magistratu. – Można pozazdrościć Panu Andrzejowi możliwości głębszego rozumienia różnic uwarunkowań polskich i zachodnioeuropejskich – dodaje.

Wraz z rodziną Billert zajmuje obecnie obszerne mieszkanie w starej kamienicy na Łazarzu. – Wszyscy domownicy są w ruchu. Każdy ma pełno zajęć. Czasem jednak wszyscy spotykają się w kuchni i głośno, dynamicznie czynią sprawozdanie z tego, co im się akurat przytrafiło – mówi. Kuchnia jest przytulna, pojemna, tajemnicza – z mroków wysokiego sufitu zwisają ozdoby etnograficzne, tworzące rodzaj wyjątkowych drapeirii. To dzieło żony, etnografa, duszy artystycznej. – I to jest wielki kłopot mojej rodziny! – śmieje się Billert. – Wszyscy są lub chcą być artystami. Siostra jest wiolonczelistką. Ojciec był muzykiem, fascynował go folklor muzyczny. Zbierał pieśni ludowe, był redaktorem muzycznym bydgoskiego radia. Dwaj synowie właśnie uczą się malarstwa. Doczekać się nie można za to żadnego bankiera ani biznesmena. Tylko mój dziadek przed wojną miał finansowy talent i dorobił się całkiem niezłej fortuny – wspomina. Ostatnio Andreas Billert zabrał się za tworzenie bujnego drzewa genealogicznego rodziny, której historia sięga wieku XVI. – Tyle tylko, że wtedy moje nazwisko brzmiało jeszcze nieco inaczej: Byllhart – opowiada. Tworzenie drzewa to odskocznia od codziennych zajęć. –

W wolnym czasie zajmuję się i tak przeważnie tym, czym w pracy – uśmiecha się.

Rewitalizacja to jego pasja. Drażni go, że Polska nie potrafi wykorzystać drzemącego w rewitalizacji potencjału (szerzej o tym w wywiadzie na str. Proszę dopisać stronę). Potrafi wyzłościwić się, gdy widzi, jak Polacy traktują publiczną przestrzeń. Przeszkadza mu też... pogarda dla ludzi. Lekceważenie słabszych. – Zawsze boli mnie obraz dawnej Rzeczypospolitej: tej pogardy dla chłopca, postaci „niżej urodzonych” – twierdzi. Mimo że wrażliwy na ludzką krzywdę, woli jednak nie określać się jako lewicowiec. Nazywa się za to katolickim anarchistą. – To taki człowiek, który zdając sobie sprawę z istnienia bytu absolutnego, dostrzega konieczność stałych zmian i przeobrażeń – tu, na ziemi. Problem w tym, gdzie leży granica między tym, co zmieniać można, a tym, co jest w życiu nienaruszalne – zastanawia się. Podobnym rozważaniom zamierza poświęcić więcej czasu na zbliżającej się emeryturze. – To już za rok! – mówi. Czy dalej zajmować będzie go odnowa miast? – Mam już tego trochę dosyć – wzdycha. – Czas już na co innego – odpowiada i mówi, że zamierza m.in. zgłębiać kontrowersyjne tezy głoszone przez uczonego – socjologa, historyka i ekonomistę Gunna Heinsohna – mieszkańca gdańskiej Starówki i profesora Uniwersytetu w Bremie – dla którego Karol Wielki i przodkowie Mieszka I nigdy nie istnieli, a historia starożytnego Egiptu była o 1500 lat krótsza.

Czego sobie życzy w najbliższym czasie? – Żeby nie przeszkadzać młodym i ambitnym – oznajmia zaskakująco, choć zdaje sobie pewnie sprawę, że – kto, jak kto – ale on sam swoją wiedzą, entuzjazmem i przykładem może być młodym bardzo potrzebny. Spogląda na młode pokolenie z niepokojem. – Żal mi młodych. Staruchy ciała i ducha rozparte na stanowiskach nie potrzebują dzisiaj młodych wraz z ich pomysłami i entuzjazmem – mówi i śmiejąc się, dodaje: – Niech Pan to napisze, mimo, że mówię to ja – człowiek w słusznym, bądź co bądź, wieku. ■

## Piotr Z. Baretkowski

Bez ich pasji i wyobraźni nie cieszyłibyśmy oczu Starym Browarem. To dzięki architektom: Piotrowi Z. Baretkowskiemu i Przemysławowi Borkowiczowi możemy obcować z dziełem unikatowym i oryginalnym. A przecież Browar to tylko jeden z kilku interesujących obiektów autorstwa obu panów, którzy wyrosli na gwiazdy poznańskiej architektury

– *Żadna ze mnie gwiazda* – Piotr Z. Baretkowski zaprzecza z uśmiechem. Przemysław Borkowicz też wołałby unikać takiego określenia. O potwierdzenie tych słów nietrudno: obaj panowie znaleźli czas na rozmowę, mimo że – tuż przed otwarciem nowego skrzydła Starego Browaru – są nieco zmęczeni. To jednak chwilowe. Energii musi starczyć jeszcze na wiele projektów. Bo Stary Browar, którego budowa dobiega końca po siedmiu latach projektowania to – oczywiście – nie koniec wieloletniej przygody z architekturą.

Studio ADS, założył w 1989 r. Piotr Baretkowski. Po roku dołączył do niego Borkowicz. W poznańskiej architekturze tworzyli często nową jakość; ich realizacje odbiegają na korzyść od przeciętnego lokalnego poziomu. Charakterystyczna bryła Portu Lotniczego Ławica, przeszklone wejście na MTP, budowa targowej hali nr 8 stanowiły w Poznaniu minionych lat novum, odmienne od postmodernistycznych wybryków innych poznańskich architektów. Prostota, starannie opracowany detal, oryginalne materiały wykończeniowe, konsekwencja formy – to wyróżniki wielu obiektów ADS-u. Nic dziwnego, że ich twórcy trzykrotnie dostawali architektoniczne nagrody im. Jana Baptysty Quadro za najlepszą poznańską realizację roku. Już na początku lat 90. ADS pokazał klasę podczas przebudowy kamienicy przy ul. 27 Grudnia, w lekko postmodernistycznym, ale oszczędnym i eleganckim stylu. Kilka lat później Studio ADS zaprojektowało inny interesujący budynek mieszkalny przy ul. Topolowej. Były też projekty o sporej skali, takie jak centra handlowe czy największy w Europie kompleks kinowy – Kinopolis. Stary Browar to z kolei estetyka odmienna od wcześniej-

# PANOWIE B. OD PIĘKNEJ ROBOTY

■ Jakub Głaz



szych realizacji – szanująca zastany, historyczny kontekst, oryginalna w każdym calu. Nie dziwi więc, że Browar dostał w 2005 roku nagrodę dla najlepszego centrum handlowego na świecie. Komplementy o talentach obu jego autorów słyszy się zresztą nie tylko przy okazji wręczania statuetek.

– *Piotr? Zawsze był bardzo zdolny. Robił u mnie dyplom. Potem pracował ze mną w Miastoprojekcie jako „sztyft”. Zaczynał. Robił projekt krat w oknach budynku Wydziału Fizyki na Morasku. Zmagał się z płaskownikami, kombinował... Do dziś, gdy oglądam te kraty, wspominam Piotra i widzę jak wielkiego dokonał postępu* – opowiada Jerzy Gurawski, ceniony poznański architekt. Najbardziej podobają mu się realizacje ADS-u utrzymane w duchu modernizmu: hala MTP, lotnisko, wejście na targi. Gurawski opowiada też inną anegdotę: – *Zmagatem się kiedyś z zawiłymi formalnościami i papierami. Piotr spojrzął i orzekł: Szefie, ja to Panu wszystko załatwię, a szef niech sobie spokojnie rysuje. Oczywiście, nie posłuchałem. Gdzie by taki młody dał radę! Po latach wyszło, jak dobry jest z niego specjalista od organizacji pracy!* – opowiada Gurawski. – *To twardy zawodnik. Nieugięty negocjator* – potwierdza Rafał Przybył, prezes firmy Fortis, która stawiała Stary Browar. – *Ma niesamowitą determinację w dążeniu do celu* – opowiada z atencją. Zanim jednak nadejdzie czas negocjacji, Baretkowski tworzy architektoniczną koncepcję budynku razem z Borkowiczem. – *Dopiero później nasze zajęcia trochę się różnicują. Mnie częściej widać na budowie przy wdrażaniu projektu, a Piotra – przy negocjacyjnym stole. Koncepcja jest jednak zawsze wspólna* – zastrzega Borkowicz. Przybył komplementuje też całe Studio ADS. – *Bardzo dobra, profesjonalna, zaangażowana firma – informuje, ale zaraz zastrzega: bardzo trudna do współpracy – jak każda grupa architektów.*

Obaj panowie B. doceniają z kolei odwagę i rozmach inwestora stawiającego Stary Browar. O innych polskich inwestorach mówią jednak



## Przemysław Borkowicz



foto: Hubert Sobolek (3x)



– podobnie jak wielu polskich architektów – krytycznie. Ich zdaniem, zleceniodawcy traktują projektantów jako zło konieczne. – A architekt to przecież wsparcie, a nie przeszkoda na drodze do jak najlepszego rozwiązania – mówi Borkowicz. Inwestor marzeń? – Wyobrażenie o nim zmienia się z biegiem lat. Na początku naszej zawodowej drogi najważniejsze było, by inwestor dał nam jakiegokolwiek zadanie. Gdy już je dostaliśmy, to bardzo chcieliśmy, by projekt nie poszedł na półkę. Teraz wymagania wzrosły – opowiada. – Marzy mi się świat, gdzie można wykonać architektoniczne zamierzenie bez tych wszystkich uciążliwych nawarstwień i naleciałości: urzędowych, technicznych i proceduralnych uwikłań. To stanowi prawie 90% naszych działań! – mówi Borkowicz.

Gdyby jednak architekci mogli bez żadnych ograniczeń wybrać miejsce i ilość pieniędzy na projekt marzeń, to... byłoby trudno. – Ilość problemów, którymi musimy zajmować się podczas codziennej pracy nie pozwala nam nawet na takie teoretyczne dywagacje – odpowiadają. Pytani o ulubione realizacje innych twórców, nie udzielają odpowiedzi wprost. – To te budynki, w których widać konsekwencję w realizacji zamysłu, jakikol-

wiek by on nie był – twierdzą. Swoje projekty oceniają dość enigmatycznie. – Lubimy wszystkie realizacje, które nam wyszły. Mniej sympatii mamy do nieudanych – deklaruje Borkowicz. Nie zdradza jednak, które uważa za te „gorsze”. – Inwestor, który zlecił ich wykonanie, mógłby być niezadowolony – uśmiecha się.

Czy, przytłoczeni pracą, biorą niekiedy urlop? – Czasem się udaje. Raz w zimie jadę na narty i to musi wystarczyć – opowiada Borkowicz. – Kiedy więc słyszę opowieści znajomych o tym, że jadą w góry trzeci raz w roku, to jestem nieco zdziwiony – uśmiecha się. Borkowicz wylicza rzadkie okazje, by się odprężyć: – Tenis – tylko pięć razy w roku. Golf – w zeszłym roku nie miałem kija w ręku ani razu. A trzeba przyznać, że bardzo lubię aktywność fizyczną – mówi. Prezes Przybył potwierdza, że architekci mają sportową żyłkę. – Grali kiedyś z nami, drużyną Fortisu, w piłkę wodną. Wygrali! – opowiada i próbuje tłumaczyć swoją porażkę: – Moim zdaniem, było kilka fauli – żartuje.

A może korci kogoś z twórców, by wyjechać gdzieś na dłużej? – Gdyby istniała po temu sposobność, to pojechałbym na pół roku do Tokio, a potem – na kolejne kilka miesięcy do innego, nie mniej

fascynującego miasta. Ale tylko po to, by popracować lub pouczyć. Pozycja turysty szybko się przecież nudzi – deklaruje Borkowicz. – Takie życie oznaczałoby jednak zostawienie wszystkiego, czego tu dokonałem – dodaje. Obaj panowie raz już zresztą z Polski wyjechali: w latach 80., kiedy kończyli studia nie było zbyt wielkich widoków na rozwój zawodowy w kraju. Praktykowali więc w Niemczech i Norwegii. Teraz, postanowili pozostać w Poznaniu. Są z nim związani, co nie oznacza, że nie dostrzegają wad miasta: słabej komunikacji czy niezbyt dynamicznego rozwoju miejskiego ośrodka.

Jak widzą dziś przyszłość swojego biura? Czy po sukcesie Browaru spodziewają się lukratywnych zleceń z innych krajów? – Trudno powiedzieć, czy takie propozycje się pojawią. Polska nie jest przecież postrzegana jako kraj dobrej architektury. Dziesiątki lat zastoju fatalnie odbiły się na jakości tutejszej przestrzeni – odpowiadają zgodnie panowie. – A co do przyszłości firmy... Nasz zawód zależy od koniunktury. Planowanie na dłuższą metę jest bardzo trudne. Najważniejsze, by nasze Studio, niezależnie od tego czy duże czy małe, stale było kreatywne, tworzyło nową, niepowtarzalną jakość. ■

## Katarzyna Kujawska-Murphy

Odwrócona do miasta plecami, usytuowana nieco na uboczu. Zamknięta i zapomniana, choć położona dwa przystanki od centrum. Przez ogół uznawana za siedlisko patologii, przez nielicznych za niezwykle miejsce, w którym czas zatrzymał się dawno temu. Za sprawą poznańskich twórców i kuratora sztuki – Katarzyny Kujawskiej-Murphy – Śródka odzyskuje dawny blask.

Katarzyna Kujawska-Murphy wraz ze Stowarzyszeniem InterCity zorganizowała jesienią 2006 r. wystawę *Re: Generacja*. Celem projektu była rewitalizacja Śródki poprzez sztukę – *Dzięki działaniom artystycznym, chcemy przywrócić ludziom pełne uroku zakątki. Musimy zdążyć, zanim rozpoczną się nowe inwestycje i zatrać się niepowtarzalny klimat tego miejsca* – mówi Kujawska-Murphy.

Działania twórców zagościły w dzielnicy dyskretnie – *Nie chcieliśmy „uszczęśliwiać” mieszkańców na siłę sztuką współczesną. Ich zaangażowanie w projekt było dla nas wielkim sukcesem. Z przedsięwzięciem utożsamili się szczególnie osoby bezrobotne, żyjące skromnie. Przez chwilę oderwali się od szarej rzeczywistości* – dodaje.

Marzeniem pani Katarzyny jest stworzenie z tego miejsca dzielnicy artystycznej tak, aby stało się ono ośrodkiem wolnej myśli, swoistym Hayde Parkiem Poznania. Pomysł na prezentację multimedialnych flag, wyświetlanych na budynkach umożliwi twórcom zaprezentowanie swojego światopoglądu poprzez użyte symbole i znaki, niosące głębokie wartości.

Idea dzielnic artystycznych może przenieść się na inne miejsca w stolicy Wielkopolski. Jednak nie można tego dokonać, siedząc z długopisem w dłoni i planując. – *Musimy poczuć potrzebę mówienia o drobnych wspólnotach miasta. Porównywanie takich społeczności umożliwia poznanie siebie, o czym mówił już Tadeusz Kantor* – wyjaśnia.

Na co dzień Katarzyna Kujawska-Murphy jest adiunktem w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, której jest absolwentką. Studia w zakresie ma-



# RE: GENERATORKA

■ Bartek Markiewicz

larstwa i video ukończyła z wyróżnieniem. Interesują ją przede wszystkim zjawiska uniwersalne, takie jak przestrzeń i czas. W swej twórczości rozważa psychologiczne aspekty percepcji widzenia. Temu zagadnieniu podporządkowuje media, którymi się posługuje. Wierzy, iż sztuka jest formą komunikacji, towarzyszy przemianie miejsca w miejsca idealne, do którego przybывamy przestępując próg galerii.

Rok spędzony na studiach w jednej z najbardziej renomowanych uczelni Central Saint Martins College of Art and Design w Londynie, wywarł ogromny wpływ na jej życie – *Z tamtego okresu, poza wiedzą, wyniosłam wiele kontaktów z ludźmi związanymi ze środowiskami artystycznymi, co zaowocowało interesującymi wystawami i projektami realizowanymi z ich udziałem* – zdradza. W Anglii poznała również męża Tima, który zajmuje się sztuką współczesną.

Uśmiechnięta, przyjazna i kontaktowa Kujawska-Murphy opracowała program stałej wymiany artystycznej pomiędzy Poznaniem a Oską. Promuje w ten sposób polskich artystów. Związane jest to ze współpracą z japońską Grupą Artystyczną A-21, skupiającą twórców z całej Azji. Efekty tej przyjaźni mogliśmy oglądać również na Śródce. Od 2003 r. cyklicznie organizuje wystawy dla polskich artystów na Międzynarodowym Festiwalu w Muzeum Sztuki Współczesnej w Japonii. ■

